

Lukaj Bogumił

Kawa Mulatka

Z „Science Fiction” nr 16 – lipiec 2002

„Amerykanie pogodzą się z tym, że ktoś jest alkoholikiem, narkomanem, że bije żonę, a nawet z tym, że jest gazeciarem, ale jeśli nie jeździ samochodem, coś z nim jest nie w porządku.”

Art Buchwald

[Psszzzt...]

...Wita państwa Donna O'Coel, dwudziesty czwarty lipca, serwis informacyjny. Podajemy skrót wydarzeń: Dziś rano około godziny siedemnastej na stanowym lotnisku w Dallas wydarzyła się tragedia, trzystutonowy Boeing rozbił się, podchodząc do lądowania... Radziecki przywódca spotkał się z premierem, rozmowy były tajne, wiadomo jednak, że dotyczyć miały rozmieszczenia sił pokojowych w rejonie Bałkanów... Czteroletnia Sarah Benton z Iowa może mówić o prawdziwym szczęściu, dziewczynka spadła z wysokości...

[Psszzzt...]

...Aby odpowiednio przyrządzić słodkie delicje babci Alconburry, mleko należy gotować na wolnym ogniu, dodając pokruszone migdały, roztopioną czekoladę i syrop klonowy...

[Psszzzt...]

„...Szłem do domu, ciemno było, nie... goronco jak cholera, w końcu Nevada, nie? Szłem, a tam na niebie, patrzę, takie dwa latajonce, świecom! Jeden, kurde, zaraz drugi! Kurde UFO! Porywajom panienki i je /beknięciey rozdzwiczajom! Inni też je widzieli i /beknięciey wcale nie byłem pijany! A, co do Betty, to UFO nie ma z tym... ”

Marta stała w kuchni przy blacie i postukując nerwowo paznokciami popędzała ekspres do kawy. Brunatno-czarny płyn o boskim zapachu niemrawo spływał do szklanego naczynia.

- Szybciej, szybciej... - błagała Marta. Do popędzania ekspresu używała lewej ręki, ponieważ z niezrozumiałych powodów lakier na paznokciach prawej jeszcze nie zdążył wyschnąć.

W tym sezonie, jak informował przenośny telewizorek, zajmujący w dużej, przestronnej kuchni zaszczytne miejsce obok lodówki, „żadna pani, a już szczególnie mężatka, nie może obejść się bez kreacji w odcieniach brązu”. Stąd też Marta, śliczna, niewysoka blondynka o cudownych, małych, zalotnych oczkach i lekko zadartym nosku, miała na sobie brązową, króciutką letnią sukieneczkę, wspaniale opinającą jej młode opalone ciało i podkreślającą... hm... urodę.

Na piętze jej druga połowa (czytaj: mąż) - Alan, właśnie budził się do życia. Z jeszcze zamkniętymi oczami próbował dowiec się na schody, z których prosta droga prowadziła do kuchni. Nieważne jak - po prostu szedł, kierując się zapachem kawy.

Marta kładła właśnie drugą warstwę lakieru na paznokcie u nóg, co chwilę zerkając na swoje uda i z niepokojem wypatrując pierwszych objawów cellulitisu.

- Dzieeee..bry, kochanie - jęknął Alan, krokiem zombie zbliżając się do stołu i opadając na krzesło.

- Cześć, skarbenku. - Marta niemal automatycznie, z gracją manekina, cmoknęła go w policzek. Alan zawsze zastanawiał się, skąd bierze się w niej ta rzeźkość - zwłaszcza rano. Żona z wielką precyzją manewrowała cząstkami, pilnikiem, goliła nogi, parzyła kawę, a nawet potrafiła włączyć mikrofalówkę, podczas gdy on o siódmej rano ściągał na siebie same nieszczęścia i gotów był (jak zresztą kiedyś się stało) skaleczyć się ołówkiem. Dlatego wolał niczego nie robić i niczego nie dotykać, dopóki się naprawdę nie obudzi, a już tym bardziej, jeśli to coś jest gorące czy ostre.

- Ładnie dzisiaj wyglądasz - wybełkotał, siląc swój niewyspany umysł na jakiś „niedrogi” komplement. Podziałało - Marta uśmiechnęła się i podała swojemu mężczyźnie śniadanie. Był piękny, słoneczny poranek - taki jak zwykle...

* * *

Około dziewiątej rano Alan zszedł do garażu. Tutaj czuł się jak król - zapach benzyny, samochód, różne niepotrzebne graty, trofea sportowe, stare magazyny z panienkami - ot, wszystko, co potrzebne facetowi do szczęścia.

Tylko ten samochód był jakiś dziwny - kombi. Nie mógł odżałować, że sprzedał swojego sportowego nissana. Nie wiedział, dlaczego to zrobił, być może dlatego, że po ślubie chciał poczuć się ważny, dorosły. Tymczasem łąpał się na tym, że przy goleniu wciąż śpiewał tę samą piosenkę co dwadzieścia lat temu. Tak, to były czasy -jego czasy.

Teraz nie miało to już znaczenia. W tej chwili nazywał się Alan Bredshaw (już nie Alan „Studnia” Bredshaw) i był znanym, cenionym, a co najważniejsze, drogim stomatologiem. Siadając za kółkiem widział już oczami wyobraźni otwarte paszcze, ziejące odpychającym odorem i rzędami zrujnowanego uzębienia. Gaźnik przypominał mu odgłos pneumatycznego wiertelka, a światła z przeciwka raziły niczym dentystyczny „motylek”.

Gdy dotarł na miejsce i wszedł do kliniki, jego zmęczonym oczom ukazała się ogromna kobieta, wypełniająca fotel dentystyczny niczym wałęś wyjęty z wody. Alan oglądał Discovery i wiedział, że orki mają zęby - tymczasem ten egzemplarz najwyraźniej ich nie miał.

- Dzionez dołby, panee dokfoze. - Paszcza orki szybko uzbroiła się w nową protezę.

- Witam panią... - odparł na wydechu. - Jak tam nowe ząbki? - zapytał, siląc się, aby jego głos zabrzmiał chociaż odrobinę szarmancko (w myślach marzył już o kieliszku koniaku).

- Oh, napławde so pzeslycne - burknęła orka. -Tylko tloche zle lezo.

Paniom w pewnym wieku nie pasuje dosłownie wszystko, a zwłaszcza nowe porcelanowe zęby.

- Proszę zagryźć, przytrzymać i puścić. - Włożył pasek kalki do ust pacjentki, sięgnął po wiertło i spiłował nierówności.

- Teraz lepiej? - zapytał po chwili.

- Z jedney stłony tak, z długiej.....

- Proszę zagryźć - westchnął.

Jego westchnienie miało powtórzyć się jeszcze dwadzieścia trzy razy, a perspektywa koniaku wydawała się coraz bardziej kusząca.

Kończył pracę około osiemnastej, zmęczony, starszy o jeden dzień i bogatszy o dwieście dolarów. I tak każdego dnia, od poniedziałku aż do piątku.

W piątek wszystko wyglądało inaczej - czas pracy wynosił tylko osiem godzin, podczas gdy w każdy inny dzień tygodnia -aż osiem. Poza tym, jeśli miał szczęście, mógł liczyć na nagłe wezwanie, a to znaczyło dodatkową setkę.

W piątek wieczór zapadał wolniej. Kiedy wracał do domu, dzieci bawiły się na ulicach przed domami, brzuchaci ojcowie żłopali piwo, grillując w ogrodzie, a poczciwe cnotliwe mateczki zapraszały przyjaciółki i zajądając batoniki, obgadwały mniej cnotliwe mateczki, które chodziły do pracy, lepiej im się wiodło, albo miały kochanków.

Tego wspaniałego dnia Alan wkroczył do domu z miną bohatera.

- Cztery korony, siedem ubytków i jedno szycie! -oznajmił triumfalnie, zarzucając kurtkę na wieszak.

- Szycie? - zdziwiła się Marta, otrzymawszy uprzednio soczystego całusa.

- Jakiś smarkacz bawił się widelcem - odpowiedział. Wszystko było wspaniałe, jak zawsze w piątek (no, może z wyjątkiem tego, w którym oblał się gorącą zupą) - dzieci bawiły się w ogrodzie, rodzice grali w bingo w domu spokojnej starości, a z kuchni dochodziły smakowite zapachy. Poza tym, w telewizji puszczali „Shafta”.

Nagle od strony ulicy dobiegł jego uszu wrzask - dziki, nieokiełznany i straszny. Nagle wszystkie dzieci krzyknęły z radości, widząc zbliżającą się przy dźwiękach „tutu, rutu, tutu” furgonetkę z lodami! Kilkoro rozwrzeszczanych małałatów rzuciło się do drzwi, domagając się karmelowych, waniliowych, czekoladowych i truskawkowych pyszności. Przed Alanem w momencie zjawiło się całe jego potomstwo - w postaci syna Joego i córki Susie, żądające po jednym dolcu na głowę. I tego dnia, jak w każdy piątek, dzielny Alan odprowadził dzieci, chroniąc je przed zbrojeńcami, dewiantami, psychopatami, świrami i czubkami, którzy nie wiadomo dlaczego upodobałi sobie przedmieścia. Tutaj nikogo nie zdziwiłoby nawet, gdyby lodziarz miał na plecach brata bliźniaka.

Kupił trzy lody - dwa dla dzieciaków, jednego dla siebie. Marcie nie kupił nic, bo dbała o linię. „Jestem na diecie!”, wykrzykiwała piskliwym głosikiem z dziką radością, kiedy ktoś zapytał ją o cukier.

Wszystko miało być tak jak zawsze - wieczór, pryszczata opiekunka do dzieci, wystrojona Marta, balanga u znajomych i ogólnie mówiąc, cała piątkowa rutyna. Około dziewiętnastej przychodziła Betty, zarozumiała nastolatka o „koślawych” piersiach, przypominających rozdeptane gruszki. Marta wkładała na siebie najlepszą sukienkę (żeby potem włożyć na siebie męża) i oboje z Alanem spędzali wieczór w mieście. Nieważne, gdzie chodzili - mógł to nawet być całodobowy sklep ogrodnicy - ważne, że byli razem i cała noc należała do nich.

I pewnie wszystko byłoby jak zawsze, gdyby nie lody. Po dłuższym zmaganiu Alan rozpakował wreszcie loda w polewie, z orzechami. Miał smak czekoladowy. W Kanadzie takie coś nazywało się „Murzynkiem”, w Ameryce za lody „Murzynki” szło się do więzienia. Ów deser miał to do siebie, że jadło się go trzymając za patyczek. I właśnie wtedy, kiedy zjadł już całą czekoladę i dotarł do patyczka, zauważył na nim drobne, aczkolwiek wyraźne literki:

„DZIŚ W NOCY. PÓLNOC. PRZYSTAŃ. WYŁĄCZ TELEWIZOR”.

* * *

- Dlaczego chcesz tam iść? - denerwowała się Marta. Alan od paru godzin ścisnął w ręce patyk po „Murzynku” i gapił się na niego tak intensywnie, jakby próbował wyczytać zeń trzecią Tajemnicę Fatimską.

- Właściwie, nie wiem - mruknął pod nosem. - W końcu nie zawsze dostaje się wiadomość wyrytą na patyczku od loda.

Marta nie była przekonana. Przystań nie należała do miejsc, które można odwiedzać o każdej porze.

- A słyszałaś historię o dziewczynce, która wypuściła balonik? - zagadnął niespodziewanie. - Napisała na nim flamastrem swoje imię i nazwisko, a gdzieś daleko, chyba w Australii, złapała go inna dziewczynka o takim samym imieniu, nazwisku, kolorze oczu i nawet, tak jak tamta, potrafiła jeździć konno i uwielbiała kuczki!

Marta wzniosła oczy do nieba.

- W Denver co druga dziewczynka to niebieskooka Mary, uwielbiająca małe kuczki.

W gruncie rzeczy wcale go nie słuchała. Była wściekła, że Alan nie pochwalił jej stroju.

- Słyszałam historię innej „dziewczynki”. Klient zrobił jej pod gardłem szeerooooki uśmiech. - Obrażona podeszła do barku i nalała sobie whisky. "

Alan nienawidził tego alkoholu, nie znosił nawet samego jego zapachu. Marta, natomiast, przeciwnie: lubiła whisky i nie znosiła zapachu Bredshawa.

Ze wspólnego wieczoru i tajskiego żarcia szykowały się nici.

- Nie rozumiem tylko - burknęła niespodziewanie - co ma do tego ten cholerny telewizor?

Alan zastanawiał się przez chwilę.

- Może to jakaś gra? - zapytał. - Wiesz, tak jak z numerkami na nakrętkach albo kuponami w pudełkach.

Nastrój Marty w momencie obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni.

- To ma sens! - powiedziała, odstawiając szklankę z drinkiem. Oczy pani Bredshaw zaślniły niepokojącym blaskiem. - „Wyłącz telewizor”, jasne! Będą rozdawać nagrody! - Marta zapiszczała z podniecenia, zupełnie jak wtedy, kiedy ktoś pytał ją, czy słodzi herbatę. - Będzie telewizja! - krzyknęła uradowana.

- Betty! - zawołała, a w chwilę potem pryszczata nastolatka o piersiach w kształcie rozdeptanych gruszek pojawiła się w salonie.

- Taaakk? - spytała głosem kojarzącym się z tłuczeniem ziemniaków.

- Będziemy w telewizji! - palnęła bez ogródek Marta, przebiegając przez pokój niczym tornado Święta Helena. - Jak myślisz - zapytała niańkę - co powinnam założyć?!

- A bo ja wiem? - wzruszyła ramionami Betty i poszła grzebać w lodówce.

[Psszzzt...]

...Sponsorem prognozy pogody jest firma oponiarska „Herbert Hill i synowie” z Maine - dobry wieczór. Noc szykuje się ciepła i duszna, burzowe chmury nadciągają nad Wschodnie Wybrzeże i w nocy dotrą nad zachodnie i środkowe stany...

Brrrr! Gdybyście tylko wiedzieli, jak ohydna i paskudna dzielnica otaczała port, a właściwie pełen śmierdzącej brei kanał, obwałowany z dwóch stron betonowymi umocnieniami. Stały tam łódki - od

dużych, do całkiem malutkich. Stały tam również, a nawet chodziły w tę i z powrotem, „dziewczynki z zapawkami”. I wśród tego wszystkiego - wśród sprzedawców ryb, prostytutek i handlarzy marihuaną, spróbujcie wyobrazić sobie Alana i Martę w wieczorowych strojach. Kiedy oboje oznajmili, że chcą wysiąść właśnie tam, taksówkarz zrobił tak duże oczy, jakich zapewne nikt nigdy nie widział u taksówkarza. Arab, w czymś przypominającym ręcznik owinięty wokół głowy, burknął tylko: „A myślałem, że raz trafił się ktoś porządny!”.

Kiedy tylko wysiedli, pośrodku ciemnej i brudnej ulicy ujrzeni zataczającą się staruszkę. Była niska, nawet jak na swój wiek, i na dziesięć jardów wiało od niej alkoholem. Alan zauważył, że miała jeszcze przednie zęby, za to brakowało pozostałych.

- Wy dwoje, za mną! - Machnęła ręką i szerookim zygzakiem doprowadziła Bredshawów do niewielkiego, zakratowanego okienka. Zastukała w nie butem, a po chwili za ich plecami odsunęła się pokrywa wjazdu i czyjaś ręka zapraszającym gestem wskazała wejście.

Alan i Marta ostrożnie zeszli po metalowej drabinie - pijana starowinka zaprowadziła ich podziemnym kanałem do opuszczonego magazynu, w którym znajdowało się sporo innych osób, a nawet sąsiedzi państwa Bredshaw.

Kilka chwil później kobieta zamknęła wjazd, a na mównicę wyszedł ksiądz, wyglądający niczym karp włożony w granatowy pulower. Jego odmienny stan (znaczy się: duchowny) zdradzała jedynie koloratka owinięta wokół szyi.

- Nie, nie - uspokajał zaraz na wstępie - nie jestem Świadkiem Jehowy. Nie będę nawracał, kropił, ani rozdawał „Strażnicy”. Zebraliśmy się tu wszyscy w największej tajemnicy, w sprawie telewizorów.

Babcia wyrwała się z tłumu.

- Jaaa...a swój wyłączy...łam - oznajmiła.

- Właśnie o to mi chodzi - odpowiedział duchowny. - Chcę was wszystkich poinformować, że jesteśmy ofiarami największego spisku w dziejach świata! Nasz rząd manipuluje nami przez środki masowego przekazu.

Wśród zebranych dało się słyszeć wyrazy głębokiego oburzenia, połączone z równie głębokim niedowierzaniem.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale po tym, co wam powiem, przekonacie się sami. Pewnie zastanawiacie się teraz, dlaczego mówię to właśnie wam. Otóż, na spotkanie zaprosiłem tylko osoby inteligentne, a dowiedziałem się o nich z ankiet, które wysyłałście, biorąc udział w rozmaitych konkursach. Zaznaczyliście tam, jak często oglądacie telewizję, jakie skończyliście szkoły, gdzie pracujecie i co czytacie. Zaprosiłem jedynie tych, którzy oglądają telewizję bardzo rzadko, chociaż, według naszych badań, wystarczą dwie godziny, żeby się uzależnić. Najwyższy czas położyć kres haniebnym praktykom rządu Stanów Zjednoczonych!

Kilkoro zebranych baptystów odruchowo krzyknęło: „Amen”.

- A teraz pragnę oddać głos mojemu drogiemu koledze. Proszę państwa, doktor Glenn Hodgers!

Kurdupłowaty łysol wysunął się na środek.

- Dobry wieczór. Nazywam się Hodgess, bez „r”. Jestem psychologiem. Hm, to taki fascynujący zawód, zupełnie jak bokser. Ha,Ha...

To miało być śmieszne.

- Istnieje wiele metod, przez które telewizja wpływa na widza - rozpoczął swój wykład. - Przedstawię państwu niektóre z nich. Otóż mózg ludzki ma zadziwiającą skłonność do lenistwa. Telewizja wykorzystuje ją, bombardując nas jednocześnie obrazem i dźwiękiem, w sposób, który eliminuje konieczność myślenia. Weźmy na przykład reklamę prażynki. - Duchowny włączył niewielki telewizor, stojący na podwyższeniu, tak żeby wszyscy mogli go widzieć.

- Półnaga kobieta w bikini wyskakuje z pędzącego ferrari, łapie zgubioną prażynkę, po czym namiętnie ją zjada. W chwilę potem wskakuje na rower górski i dogania ferrari. Na końcu pojawia się hasło: „Schrup mnie, prażynka «Kartofelek»”. Cóż za akcja, niesamowite. Z czym zatem będą kojarzyć się prażynki?

- Z ferrari? - zapytał nieśmiało duchowny.

- Źle - odparł Hodgess. - Z kobietą w stroju kąpielowym, a dopiero później z ferrari, tropikalną wyspą i kierowcą. Ale kiedy wyłączy się głos - o tak, wtedy całość zmienia się w bezkształtną, chaotyczną mieszaninę parosekundowych ujęć, które mózg, zamiast zapamiętywać, odrzuca jako niezrozumiałą dla siebie dawkę informacji. Możemy zapamiętać dziewczynę, ewentualnie samochód. Nie skojarzymy jednak tego w żaden sposób z produktem.

Zaproszeni goście mieli miny, jak gdyby do ich kuchni wpłynął Fidel Castro na „Titanicu” i podarował głodnym dzieciom kołowrotki.

- Chodzi o to, że wiemy, jak się przed tym bronić - powiedział karzełek. - Oto urządzenie, którego prototyp będą państwo mieli zaszczyt przetestować. - Wyjął z kieszeni niewielki przedmiot, przypominający breloczek do kluczy.

- Ten mały, niepozorny aparat emituje system fal dźwiękowych o wysokiej częstotliwości, powodujących objawy neuroleptanalgezji, czyli stanu zubożenia psychicznego bez utraty świadomości. Telewizja i reklama wywołują stan dokładnie odwrotny - częściową utratę świadomości i silne uzależnienie, przejawiające się w dążeniu do maksymalizacji czasu spędzanego przed odbiornikiem i podświadomego przyswajania wszelkich treści zeń płynących. Nosząc urządzenie przy sobie, blisko ciała, spowodujecie państwo jak gdyby zrównoważenie się biegunów dodatnich i ujemnych, „plusa” i „minusa”, wywołując u siebie stan całkowitej niepodatności na telewizję.

Fidel Castro rozdał kołowrotki, a potem w towarzystwie Mary Poppins i lektury „Henryka VIII”, udał się balonem do Dakaru.

- I jeszcze dostaniecie je za darmo! - dodał duchowny.

Zebrany tłum, z pieśnią na ustach, wiwatując radośnie rzucił się w kierunku breloczków.

„Ja chcę dwa!”, wrzeszczała otyła kobieta w czerwonej sukience w grochy. „Dla mojego teścia!”, „Jeden dla mnie, dwa dla córki!”, gorączkował się jakiś tatuś z łysinką. „I jeszcze jeden dla żony, ona wszystko gubi. Gdyby pan wiedział, co ostatnio zgubiła”. „Dla mnie!”, wrzeszczał kierowca autobusu. „Spokojnie, wystarczy dla wszystkich! Nie damy się wodzić za nos!”, skandowała zataczająca się kobieta, zachęcając do nabycia breloczków. Po chwili okazało się, że urządzeń nie wystarczyło. Pozostałym uczestnikom konwentu arcytajne stowarzyszenie obiecało dostarczyć breloczki DHLem.

Alan wsadził aparat do kieszeni. Marta powiesiła swój na szyi, jak wisiorek. Niewielkie metalowe pudełeczko wesoło dyndało ponad dekoltem kobiety. Ta jednak wcale nie była zadowolona.

- Kicha! - jęknęła. - Pieprzone prażynki! - zakłęła jeszcze pod nosem i razem z mężem wrócili do domu.

* * *

Marta obudziła się rano i spojrzała na sufit. Muszę ogolić nogi, pomyślała z niechęcią, powoli zwlekając się z pościeli. Weszła do łazienki, chwiejnym krokiem, rzecz jasna, bo w pewnym sensie jeszcze spała. Spojrzała z lękiem na leżącą w kącie maszynkę „Afrodyta” i bardzo szybko odwróciła wzrok. Plastry wosku leżały poukładane starannie w szafce koło suszarki. Marta sięgnęła po jeden i zgodnie z instrukcją przykleiła go do nogi. W głębi duszy czuła jednak, że coś jest nie w porządku.

Wisiołek wciąż dyndał jej na szyi i pewnie gdyby nie to, wczorajszy dzień mógłby wydawać się jedynie nieprzyjemnym snem. Pani Bredshaw z dokładnością zegarmistrza przyjrzała się drugiej nodze. Oto na ślicznej goleni, nie wiadomo skąd, pojawiły się mikroskopijne kudełki. Kobieta przygryzła dolną wargę, jakby miała się za chwilę rozplakać. Zerwała ze złością plaster i drżącą ręką sięgnęła po „Afrodytę”. Beznadzieja!, pomyślała, po czym z głęboką pogardą i jeszcze większym wstrętem wrzuciła cały zapas plastrów do kosza.

Alan obudził się nieco później, powoli otworzył oczy i zaraz zamknął je z powrotem. Coś było nie w porządku, jakiś przedmiot wbijał mu się w bok. Wstał, podniósł żaluzję i dokładnie przyjrzał się metalowemu pudełeczku. „Made in Taiwan”, wypisano z tyłu drobnymi literkami. To nie w porządku! Nie lubił niczego, co nie było amerykańskie. Taki był jego ojciec, dziadek, pradziadek... Chociaż nie, pradziadek był Irlandczykiem i do końca życia nie znosił wszystkiego co amerykańskie... Mimo wszystko Alan nie wyrzucił urządzenia. Zawiesił je na szyi i postanowił sprawdzić, jak działa. W końcu takiego czegoś nie można kupić w pierwszym lepszym sklepie.

Zszedł do kuchni - również chwiejnym krokiem, bo na swój sposób jeszcze spał. Olbrzymim wysiłkiem woli sięgnął po kubek i włączył ekspres. Kropelki czarnego płynu powoli spływały po ściankach szklanego naczynia. Nad filiżanką unosiła się wspaniała, aromatyczna mgiełka.

Ale coś było nie tak - wiedział o tym. To wszystko było takie, takie... zwykłe. Ot, po prostu parzył kawę. Mieszał z wodą brązowy proszek, spalone i zmielone ziarna. Gdzie podział się ten klimat, gdzie rytuał, któremu dawał się ponieść codziennie rano?

Odruchowo włączył telewizor, z głośnika dobiegał monotony, nieciekawo świergot. I właśnie w tym momencie na ekranie pojawiła się reklama - śliczne, zmysłowe Turczynki kręciły tyłeczkami, paradując wokół sułtana, pijącego kawę. „Kawa «Mulatka» - odrobina egzotyki w każdej filiżance”. EUREKA!

Właśnie tego mu brakowało - egzotyki (jeśli ktoś pomyślał o Mulatce, to powinien się zbadać). Dopiero teraz zrozumiał, spojrzał z podziwem na breloczek i z obrzydzeniem na filiżankę. Skoro zwykła, tania kawa była dla niego substytutem ambrozji, czemu jeszcze dał się zwieść? W czym jeszcze podświadomie podziwiał nieistniejące półnagie Turczynki? Pił „Mulatkę”, bo podobały mu się jej reklamy, bo zbudował w

mózgu cały system obrazów i skojarzeń, prowadzący właśnie do kawy „Mulatki”. Teraz była dla niego zwykłym, gorzkim płynem.

Alan spojrział na swoje klapki. Podeszwa rozdziwiła się i istotnie od czasu do czasu zdarzało jej się „klapać”, stwarzając zagrożenie życia za każdym razem, kiedy szedł po schodach. Dziś jednak klapki „Jing-Jang” wydały mu się zwykłym badziewiem i z radością zrzucił je z nóg. Z ulgą poruszał palcami i wrócił do pozabawionej Turczynek kawy. Teraz żył naprawdę i wiedział, że wszystko jest tak, jak ma być. Wyłączył telewizor. Nie chciał niczego oglądać, nawet nie czuł takiej potrzeby. Może był chory? Nie wiedział.

* * *

Tego samego dnia po południu Marta wybrała się na zakupy. Uwielbiała robić to sama, bo wtedy nikt nie poganiał jej, kiedy krążyła między jednym butikiem a drugim. Poza tym, w „Mega Centrum” łatwo było spotkać koleżanki i sąsiadki, wypić sok pomarańczowy i zjeść ogromnie tuczący kawałek ciasta z malinami.

Kiedy zeszła z ruchomych schodów, zobaczyła Mel i Gretę, przymierzające jakieś fioletowe, delikatnie mówiąc: „gówno”. Greta stała z rozłożonymi rękami i przed olbrzymim lustrem podziwiała na sobie podkoszulek z wielgachną truskawką.

- Wyglądasz jak nastolatka, która chce ukryć duże cycki! - zaśmiała się Marta. Oblicze Grety spowił groźny mars.

- ...Mnie też miło cię widzieć! - odparła obrażona. Na odsiecz ruszyła Melanie ze swoim magicznym słowem - kluczem: „wszyscy”.

- Wszyscy teraz tak chodzą! - powiedziała rozpromieniona, ujęła Martę pod rękę i poprowadziła w stronę luster. - Znalazłam coś dla ciebie! - jęknęła zachwycona. Podeszła do jednej z półek i zdjęła z niej plastikowe, fioletowo-różowe legginsy. Marcie przypominały pokrowce na siedzenie w autobusie.

- Nie są zbyt eleganckie - powiedziała, marszcząc nos.

Fidel Castro i Papież grali w kapsle. Fidel ukuł się wrzecionem i zasnął.

- Jak to? - niepomiernie zdziwiły się obie kobiety.

- Mam w nich tyłek jak zeppelin - odparła. Obie przyjaciółki spojrzały na siebie i widząc, że sytuacja wymaga natychmiastowej interwencji, zostawiły torby z zakupami i porwały Martę na kawę.

- Czy z twoim mężem wszystko w porządku? - zapytała Melanie. - Wiesz, że nam możesz o wszystkim opowiedzieć.

- Jesteśmy twoimi przyjaciółkami - zapewniła Greta, kładąc jej rękę na ramieniu i strzepując zeń niewidzialne pyłki. - Harry, facet Peggy Sue, dowiedział się, że ma raka, nałykał się tabletek i umarł!

- Iście niewieścia śmierć - zaśmiała się Marta z nutką sarkazmu w głosie. - Alan jest zdrowy. Nie wiem, czy mogę wam opowiedzieć, co się wczoraj zdarzyło.

Mel i Greta spojrzały po sobie z oburzeniem.

- To już druga dzisiaj! - Greta machnęła w powietrzu błyszczącymi pazurkami. - Widziałyśmy się z Megan i ona też była jakaś dziwna!

Melanie ujęła Martę za rękę.

- Skarbie, powiedz, jeśli dzieje się coś niedobrego!

Marta wahała się przez chwilę. W końcu jednak rozpięła kołnierz bluzki i zdjęła przez głowę wisiołek, wyprodukowany na Tajwanie.

- Załóż - poprosiła Gretę. - To wywołuje neuroanalgezę... - powiedziała głosem absolwenta Oxbridge. Kobieta założyła wisior, zamrugała oczami i rozejrzała się dookoła, a potem spojrzała na manekina w legginsach.

- Masz rację - jęknęła przestraszona. - Wyglądają jak pokrowce na siedzenia!

- W autobusie - dodała Marta. Greta wstała od stolika i podeszła do jednego z luster.

- AAAaaa! - krzyknęła przerażona. - W tej cholerniej bluzce mam miechy jak Murzynka, która wykarmiła dwanaścioro dzieci! I co na moich cyckach robi ta truskawka? Jak mogłam coś takiego założyć, widziałas, Mel?!

Melanie siedziała wciąż na swoim miejscu, kurczowo ściskając filiżankę, z miną, jakby Fidel Castro w sombrero i z tamburynkiem zatańczył czardasza z księżniczką Sylwią. Podeszła do Grety, zdjęła z jej szyi wisiołek i założyła sobie. Ostrożnie zbliżyła się do lustra i... zemdląca.

* * *

Alan stwierdził, że „BielTEK” słabo trzyma się na zębach. Zastanawiał się, jak mógł być tak głupi i przez tyle lat używać substancji droższej i mniej skutecznej! W dodatku nie podobało mu się wyposażenie gabinetu. Było zbyt ciasno, a przestrzeń wypełniały urządzenia, których Alan nie używał praktycznie nigdy.

Zauważył, że pacjenci wydają się bardziej zestresowani nadmiarem aparatury niż samym zabiegiem, dlatego stwierdził, że przyszedł czas na zmiany.

Doktor odesłał do domu wszystkich swoich pacjentów, przepaszając za niewygodę i obiecując, że następnym razem nie weźmie pieniędzy. Odsłonił duże rozsuwane okno, i wpuścił do pokoju trochę światła. Zgasił bakteriobójcze jarzeniówki, wyniósł na korytarz wszystkie graty. Tak, teraz lepiej, pomyślał, w ciemnych okularach i z kieliszkiem koniaku siadając przy otwartym oknie na fotelu, oświetlonym przez dentystycznego „motylka”.

- Zupełnie jak na Bahamach - mruknął pod nosem i usnął.

* * *

Tajemnicze urządzenie działało wspaniale! Uodpornieni na wszelkiego rodzaju sugestie - modne ciuchy, sportowe samochody, sprzęt wideo, pasty do zębów, odmładzające kosmetyki i klapki z kolcami „Jing-Jang”, mogli wreszcie otworzyć oczy i wszystko pozmieniać. Na lepsze.

Marta przestała kupować ciuchy z drugiej ręki i ubierać się w tanich butikach. Sąsiedzi z początku drwili z niej, ale po jakimś czasie zaczęli postrzegać ją jako „kobietę z klasą”, tak bardzo zmienił się jej zewnętrzny wizerunek. Jej nowy styl podkreślał piękno Marty, a nie ubrań, które nosiła.

Alan otworzył nowy gabinet i wkrótce oboje z Martą nabyli posiadłość w Kalifornii. Powodziło im się całkiem nieźle, a piątkowe wieczory znowu nabrały blasku. I chociaż z ich życia zniknął telewizor, czuli się odrobinę szczęśliwsi. I tak miało być już zawsze.

* * *

Noc z dwudziestego ósmego na dwudziesty dziewiąty czerwca była parna i duszna. Na granatowym niebie zbierały się burzowe chmury, oblewając złowróżbną czernią całą pograżoną we śnie ulicę.

Alan i Marta spali. W ich salonie, starannie poukładane, stały tekturowe pudła. Tak miała wyglądać ich ostatnia noc w Denver. Ciężarówka „MOVING ON” miała przyjechać następnego ranka, dokładnie o ósmej czterdzieści pięć. Sąsiedzi urządzili im pożegnalnego grilla, obdarowali setką niepotrzebnych rzeczy i trochę smutni, odrobinę zazdrośni i całkiem pijani, rozeszli się do domów. Marta cieszyła się z wyjazdu, ale ostatni dzień kompletnie ją rozkleił. Pożegnania potrafią wrzucić każdego. Kiedy położyła się spać, Alan zauważył łzę na jej policzku. Nie powiedział nic, objął Martę ramieniem i ucałował.

* * *

Lało. W oddali od czasu do czasu niebo przecinały jasne pasma błyskawic. Nadciągała burza i dało się słyszeć pierwsze grzmoty.

Czarna furgonetka ze zgaszonymi światłami zatrzymała się przed domem Bredshawów. Zaraz za nią nadjechały dwa samochody z napisem LOCAL TV na drzwiach.

Burza była coraz bliżej. Piorun uderzył w linię energetyczną i cała ulica pograżyła się w ciemności. To bardzo ułatwiło przybyszom zadanie. Cztery osoby, w kominiarkach i z bronią, wyszły ostrożnie z samochodu, uważając, by nikt ich nie zauważył. Pozostali już zbierali się wokół domu, a właściwie - domów, bo na niektórych podjazdach również pojawiły się tajemnicze samochody.

Intruzi najpierw weszli wokół budynku niczym wyszkolone psy myśliwskie, później jeden z nich, z jakimś elektronicznym urządzeniem przypominającym palmtopa, wskazywał coś pozostałym.

Drzwi Bredshawów otworzyły się. Uzbrojona grupka wtargnęła przez kuchnię do living roomu, a potem niepostrzeżenie i cicho rozeszła się po całym w domu. Facet z palmtopem czegoś szukał.

Kiedy Alan otworzył oczy, zobaczył wokół siebie osiem czy dziewięć osób, karabiny i latarki wycelowane prosto w niego. Marta obudziła się z krzykiem, ale zaraz potem umilkła.

- Bredshaw, oddajcie zagłuszacz - usłyszał od jednej z postaci. - To nielegalne.

Alan próbował grać głupiego:

- Niby co? Nie wiem, czego chcecie!

- Urządzenie, które masz.... - Jeden z włamywaczy zerwał mu nadajnik - ...miałeś na szyi, emitujące fale radiowe. Używałeś go, nie posiadając koncesji, A teraz wreszcie udało nam się was namierzyć!



Alana ogarnęła niesłychana wściekłość. Banda zamaskowanych typów w jego domu, przestraszona Marta i krzyczące ze strachu dzieciaki!

- Dzwonię na p...

Ktoś zasłonił mu ręką usta, ktoś inny zerwał Marcie z szyi nadajnik.

- Made in Taiwan, shit! - zaklął napastnik. - Powinniście kupować więcej amerykańskich rzeczy. Przez takich jak wy ten kraj schodzi na psy! - Wyjął z kieszeni niewielki pojemnik, i rozpylił nad nimi jakiś gaz. Wkrótce światła stały się nieostre, potem zamazane, aż w końcu zgasły zupełnie. Oboje Bredshawowie pogrążyli się w głębokim śnie.

* * *

Alan obudził się pierwszy, wstał z bólem głowy. Cicho zajrzał do pokoju, w którym spały dzieci, na szczęście nic im się nie stało. Nawet, nie usłyszały kroków za drzwiami.

Powlókł się sennym krokiem do łazienki i

O RANY! Marta stała przy umywalce z obnażoną nogą, przyglądając się reklamowanym do znudzenia plastrom do depilacji! Kompletnie nieskutecznym, za to najbardziej popularnym. A więc wszystko było jak dawniej?!

Alan zdążył jedynie krzyknąć.

* * *

Ktoś musiał coś z tym zrobić. Pobiegł do telefonu. Nie było sygnału.

Przecież zmienili numer i dostawcę. Dziś miał być dzień ich wyprowadzki.

Wybiegł przed dom. Ciężarówka „MOVING ON” zaparkowała przed domem. Jednak nie za nią rozglądał się Alan. Z drugiej strony ulicy usłyszał znajomy sygnał „ru-tututuuu”, w oddali mignęła furgonetka z lodami.

- Stój! - wrzasnął, rzucając się w pogoń za oddalającym się białym samochodem. Łodziarz poruszał się w ślimaczym tempie. Skręcił w Oak Hill, później w Pinetree Alley. Tymczasem Alan pędził niczym Magie Johnson cierpiący na biegunkę.

- Ppp...proszę „Murzynki” - powiedział zziębnięty, dopadłszy drzwi pojazdu.

- Przepraszam, co? - zapytał czarnoskóry sprzedawca.

- Dawaj te cholerne „Murzynki” - ryknął zdenerwowany. Afro-Amerykanin podał Alanowi „Śnieżynkę” i odjechał. „Powalony Białas!”, rzucił na pożegnanie.

- Białas? - powtórzył Alan bezgłośnie kilka razy. Odwrócił się i krzyknął: - Pieprzony Afro-Saxon! Jigabu! Darkie! - rzucił rozwścieczony za odjeżdżającą furgonetką. Samochód zatrzymał się i nawrócił. A kiedy „przypadkiem” przejeżdżał obok Alana, Jigabu również zupełnym „przypadkiem” otworzył drzwi.

Z siniakiem i klamką odcisniętą na czole, Alan rozpakował „Śnieżynkę”. Na patyczku było napisane jedyne: „Sorry, może następnym razem”. Nikt nie mógł mu pomóc.

Alan wiedział już, co powinien zrobić. O, tak, doskonale wiedział.

* * *

Nadeszła godzina zero - siedziba LOCAL TV znajdowała się kilka przecznic dalej, dokładnie dwadzieścia minut jazdy samochodem. Korzystając z autobusów, trzeba było wsiąść w 723 i cztery przystanki dalej opuścić pojazd.

Budynek był spory - właściwie bardzo duży, a wejścia, niczym tajemnej groty Aladyna pełnej skarbów i dziewczoi przed dwudziestym pierwszym rokiem życia, strzegło dwóch ochroniarzy, których Alan bezlitośnie znokautował ręcznikiem zwiniętym w marchewkę.

Wpadł do środka niczym Neo z „Matrixa”, tyle że z wyglądu przypominał Bena Affleca po przebytych płukaniu żołądka. Uzbrojony w dobre chęci i ręcznik, wtargnął na pierwsze piętro, gdzie sterroryzował dziennikarki i dostał się w krzyżowy ogień kamer:

[Psszzzt]

- Nazywam się Alan Bredshaw, byłem spokojnym obywatelem, uczciwym, ciężko pracującym człowiekiem, żyję we wspaniałej rodzinie, dwa plus dwa, moja żona jest fryzjerką i też ciężko pracuje. Żyjemy uczciwie i w każdą niedzielę chodzimy do kościoła. Ale jest coś, co nie pozwala nam żyć spokojnie, jest coś, co sprawia, że nie możemy cieszyć się wolnością, a przecież wolność jest tym, czego w Ameryce nikomu nie można odebrać!

Spuścił z tonu, zobaczył spojrzenia pracowników stacji, którzy zebrali się wokół niego, po drugiej stronie kamery, i spoglądając z litością, słuchali, co też ma do powiedzenia.

[Psszzzt]

- Jesteśmy sterowani! Żyjemy tym, co rzucają nam w telewizji, rzucają jak ochłap! Kiedy widzisz prognozę pogody, zabierasz parasol, kiedy słyszysz, że ktoś uciekł z więzienia, osobiście odwozisz dzieci do szkoły, kiedy mówią, że będzie trzęsienie albo powódź, wierzysz im! Tak cię kupują, tak zdobywają twoje zaufanie! Ale kiedy mówią ci, że płatki Nestle są smaczne i zdrowe, w sklepie sięgasz po tego pieprzonego kogutka! Słyszysz, Marto, rzygać mi się chce tym kogutkiem! Tankujesz w BP, jak zegarek to Swatch, jeśli bar to McDonakTs...

[Psssszzzzzt]

...program sponsorowany dzięki uprzejmości jedyne go dystrybutora smacznych płatków na Wschodnim Wybrzeżu - Nestle! - Będą duży i silny jak Mike Tyson-o-skończyły się płatki i co ja teraz zrobię? Są w sklepie! Twoje płatki czekają na ciebie, mistrzu! - Tegorocznym sponsorem wyścigów katingowych jest BP, partner, któremu możesz zaufać - zbieraj punkty i wygrać Jaguara! - Hej, dzieciaki, to ja, wasz...

Alan, nie zrażony przerwą, mówił dalej:

- Kreują nasze marzenia i zabijają w nas to co najlepsze! Nie sięgamy po książkę, bo lubimy być bombardowani serią obrazów, Kochamy je! Tęsknimy do nich, uwielbiamy! Ale prawda jest taka, że przyjmujemy je bezkrytycznie, zniechęceni do jakiegokolwiek umysłowej aktywności! Oni mają nad nami kontrolę! Oni nami kierują! Po co komuś mówić, co ma robić?! Niejeden rząd próbował, niejedno imperium upadło, na czym polega sukces Ameryki? Wystarczy sprawić, abyś czegoś zechciał, a znajdzie się tysiąc osób, które pomogą ci to uzyskać. Jeśli ktoś zorientuje się, że zaraz kichniesz, dziesięciu producentów podsunie ci pod nos swój wyrób - albo jeśli będziesz miał kaca, pokażą reklamę Alkaseltzera! Jesteśmy ich zakładnikami - zakładnikami telewizji! Jeśli trafia do was to, co mówię, błagam! Błagam! Proszę, zaklinam na wszystkie możliwe świętości - wyłączcie telewizory, wyłączcie telewizory!!!
Pstryk. Kropka. Cisza.

- Witamy nowego prezesa! - powiedział Gordon Smiley, jowialny człowieczek o łysej głowce i falujących rytmicznie fałdach tłuszczu. W garniturze przypominał krewetkę, machającą od czasu do czasu swoimi krótkimi rączkami.

- Panie Alan, w imieniu własnym, jak również w imieniu wszystkich współpracowników, z radością pragnę poinformować pana, że przeszedł pan pomyślnie wszystkie eliminacje. - Smiley czuł się odrobinę niepewnie, przemawiając do zdesperowanego człowieka z rącznikiem zwiniętym w marchewkę.

- Od dziś pracuje pan dla nas! - Zebrani wokół kamery zaczęli głośno klaskać. Jakaś miła panienka w zielonym surduciku, przypominająca patyczaka, sięgnęła po butelkę szampana. Alan stał skołowany, na środku studia, nie wiedząc, co się dzieje.

- Prezesa? - powtarzał niepewnie półgłosem.

Ależ tak, drogi kolego. Pańska przemowa, a już z całą pewnością czyn, polegający na wkroczeniu do studia i objawieniu swoich poglądów światu, delikatnie mówiąc, ujęły mnie za serce. Sam pan wie, że ktoś musi kierować tym całym interesem. Gdybyś policzył pan tych wszystkich ludzi na dole, po drugiej stronie kabla, zauważyłbyś, że takich jak ty trafi się najwyżej dziesięciu na milion.

- Ale będzie panu ładnie w garniturze! - uradowała się niepozorna blondynka w czerwonym kostiumiku, podając Alanowi kieliszek szampana.

Przyszedł prezes nie okazywał radości.

- Jeśli chodzi o... Przepraszam - poprawił się Alan zniżając ton. - Jeśli chodzi o mnie, to gdybym mógł, najchętniej zaniknąłbym całą tę budę, o, tak! - Nagłym gestem pokazał, jak bardzo zamknąłby studio LOCAL TV. Smiley tymczasem, zupełnie niewzruszony, jakby w swoim życiu widział co najmniej kilku przyszłych prezesów, niezrażony trwał na swoim stanowisku:

- Chcesz ich pozbawić rzeczy, która jest dla nich najcenniejsza w życiu? - zapytał ostro, a jego głos domagał się odpowiedzi: „Nie, nie, ależ skąd!” -Przyjrzyj im się uważnie, a zobaczysz, jak marnie żyją! Pracują od świtu do nocy, w domu wita ich pomarszczona, zgryźliwa kobieta, w hotelu zazdrośna kochanka, starzeją się, niedołęznieją i zostawiają za sobą kolejne pokolenie nieszczęśliwych ludzi.

- Tylko tak mówisz - zapierał się Alan. - Nigdy nie byłeś tam, „na dole”, skąd ty możesz wiedzieć? Jesteś zamknięty w swoim małym telewizyjnym światku!

- O, nieprawda - odparł Smiley. - To właśnie MY -objął Alana ramieniem - urządzamy ten wasz światek! Zupełnie jak ten Grek, jak-mu-tam... Panno Brown?

- Prometeusz - powiedziała kobieta-patyczak.

- Właśnie, jak Prometeusz ogień, my zsyłamy im nasz program! Dzięki temu życie staje się dla nich ciekawsze.

- Ale nieprawdziwe. - Kilka osób za kamerą, w tym pani Patyczak, zachichotało bezczelnie. Smiley sięgnął do kieszeni, przez chwilę gmerał w niej przykrótką ręką, aż w końcu wyjął książeczkę czekową.

- Ta suma powinna załatwić sprawę, prawda? -Wyrwał jedną z kartek.

Allan nie odpowiedział, patrząc okrągłymi oczami na nie mniej okrągłą sumę. Przez dobrą chwilę nie mógł oderwać od niej wzroku, aż w końcu wyprostował się, poprawił przedziałek i niby przypadkiem schował czek do kieszeni.

- Myślę, że powinienem kupić sobie nowy garnitur - dodał po chwili z uśmiechem, sięgającym od jednego ucha do drugiego. - Panie Smiley, patrzy pan na nowego prezesa LOCAL TV.

